



## TADEUSZ WILCZYŃSKI

Warszawa, 13 lutego 1946 r. Asesor sądowy Antoni Krzętowski, delegowany do Oddziału Warszawa-Miasto Głównej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich, przesłuchał niżej wymienioną osobę w charakterze świadka, bez przysięgi. Uprzedzony o obowiązku mówienia prawdy oraz o odpowiedzialności karnej za składanie fałszywych zeznań, świadek zeznał, co następuje:

---

Imię i nazwisko	Tadeusz Wilczyński
Imiona rodziców	Kazimierz i Konstancja
Data urodzenia	11 grudnia 1904 r.
Miejsce zamieszkania	Warszawa, ul. Radzymińska 46 m. 3
Zajęcie	handlowiec
Wykształcenie	dwie klasy szkoły powszechnej
Wyznanie	rzymskokatolickie
Karalność	niekarany

---

Franciszka Stanisława Konarowskiego nie znam. Na Pawiaku nigdy nie byłem więziony. Byłem zatrzymany przez Niemców w czasie łapanki ulicznej 19 września 1940 roku, po czym po dwudniowym przetrzymaniu nas w ujeżdżalni przy ul. Szwoleżerów wywieziono mnie łącznie z innymi do Oświęcimia.

W transporcie tym znajdowało się nas wówczas 1850 osób. Na liczbę tę składało się trzysta osób z Pawiaka, a resztę stanowiły osoby przywożone z łapanki w dniu 19 września 1940 roku. Liczba 1850 osób nie musi być dokładna – możliwa jest omyłka w granicach 100 – 150 osób. Liczbę tę ustaliliśmy później w Oświęcimiu na podstawie porównania najniższych i najwyższych numerów przydzielonych przez komendę obozu więźniom z naszego transportu.

Wszystkie osoby, które zostały przychwycone w czasie wymienionej wyżej łapanki, przewiezione zostały następnie do Oświęcimia. Łapanka ta odbywała się zarówno na ulicach, jak i po domach. Ja schwytany zostałem w momencie, gdy wybiegłem ze swego mieszkania przy ul. Radzymińskiej na podwórko z zamiarem przedostania się do swego sklepu, obok którego znajdowała się piwnica mogąca mi dać dobre schronienie. Przewieziono nas samochodami, tzw. budami na ujeżdżalnię. Budy były to duże ciężarowe samochody z ławkami umieszczonymi na stałe na platformie, będące wyłącznie do dyspozycji gestapo, a używane do łapanek ulicznych, względnie do przewożenia aresztantów na przesłuchania w aleję Szucha.

Niemiec, który pochwyił mnie w czasie łapanki, nie pozwolił mi wrócić do mieszkania celem zabrania ze sobą niezbędnych rzeczy, a gdy na pytanie jego odpowiedziałem, że mam przy sobie osobiste dokumenty, oświadczył mi, że skoro tak, to nie mam po co chodzić do mieszkania, gdyż po dwu godzinach zostanę zwolniony. Nie wierzyłem w to, gdyż w sierpniu (zdaje się 12) 1940 roku, w czasie pierwszej na szeroką skalę zorganizowanej łapanki, Niemcy mówili to samo, a później wywieziono wszystkich tak samo jak i nas do Oświęcimia. Ludzi z tej pierwszej łapanki spotykałem później w Oświęcimiu.

Po przywiezieniu nas do ujeżdżalni spisano najpierw ewidencję naszą. Spisywanie to odbywało się właściwie w budynku sąsiadującym z ujeżdżalnią, a dopiero potem przeprowadzono nas grupami po kilkadziesiąt osób do właściwej ujeżdżalni. Spędzono nas tam w ilości około 1,5 tys. osób, z czego w dniu następnym zwolniono około 50 osób na podstawie przedstawionych przez nich dokumentów stwierdzających, że są zatrudnione w instytucjach niemieckich.

W ujeżdżalni znaleźliśmy się na gołej, częściowo rozmięklej i zanieczyszczonej nawozem końskim ziemi, gdzie nie otrzymawszy żadnego dodatkowego odzienia, a tylko w tym, w czym każdy został schwytany, przetrzymani byliśmy przez dwa dni. Przez ten czas otrzymaliśmy po półtora bochenka chleba, tak że w tym względzie nie odczuwaliśmy braku, jednak żadnej ciepłej strawy czy choćby napoju przez cały czas ani razu nie otrzymaliśmy.

Zarówno samą łapankę, jak i kontrolę nad nami w ujeżdżalni, przeprowadzali gestapowcy. Niektórzy spośród nich nosili przy sobie plecione z rzemienia baty, którymi często bez powodu nawet okładali zatrzymanych. Przez cały czas musieliśmy siedzieć na gołej ziemi – stać nie wolno było.



W Oświęcimiu przebywałem przez rok i pół miesiąca. 9 października 1941 roku zostałem w sposób zupełnie dla mnie niespodziewany zwolniony. Być może, że doszło do tego na skutek starań mojej żony.